Nr. 46. We Lwowie dnia 15. listopada 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

4)

(Ciąg dalszy).

Aleksander jak zwykle wstał pierwszy. Sypiał mało. Zajrzał do konia, rzucił mu siana, narąbał drzew, rozniecił ogień, czajnik postawił, ciasto zagniótł na placek, a Jakób i Zosia wciąż jeszcze spali; siadł więc przed kominem i doglądał piekącego się podpłomyka. Ajaks umieścił się tuż przy jego nogach, i zmrużywszy oczy. odwracał od ognia dużą swą głowę. Nagle nastawił uszy, otworzył oczy i zawarczał. Drzwi zlekka stuknęły.

— Trzymaj psa, cudzoziemcze!

— Cicho, obudzisz dziecko... Ajaks pst?...

Zgarbiony i pokorny wszedł Jakut ubogo odziany, z dużą głową i niezwykle wypukłemi oczyma.

— Jak się masz? Co słychać? Mów!... Siadaj! — witał go podaniem ręki Aleksander.

— Co ma być! Nic nie słychać!...

— Cośkolwiek a słychać! Siadaj... Zasiedatiel był?

— Był — niechętnie odpowiedział Jakut. — Głupi ludzie! bardzo głupi!...

Nieznacznie rozglądał się po jurcie swemi dziwnemi oczyma, za które przezwano go »Żabiem Okiem«.

— Dziewczynę przywiozłeś? — spytał zniżając głos.

— Przywiozłem.

— Ziemi będziesz żądał?

Aleksander nachylił się i zaczął poprawiać placek.

— Myślisz, że ci żałuję? — rzekł Jakut. — Bierz, ile sił starczy, będziesz miał dobry kawałek chleba... Ziemia tutaj urodzajna, oj, u — ro — dzaj — na!... My, biedni, też się przy tobie pożywimy. Robota będzie, pieniądze będą!...

— Słuchaj, »Żabie Oko«, nie wiesz, ktoby się zgodził zrobić koryto?... Takie duże, żeby można było dziecko kąpać, bieliznę prać...

— Takie koryto! możebym i ja podołał..

— A łódkę?

— Naco ci łódka? Drogo będzie kosztowała, prawdziwej łódki nikt nie zrobi prócz Tusa.

— Płużysko wyciąłeś mi?

— Wyciąłem, schnie. Możesz zabrać.

— Przynieś mi. Teraz nie będę mógł często z domu wychodzić.

— O tak! Przyniosę. Słuchaj, Liksandra, moja kobieta przysyła dla twojej dziewczyny gościńca. Dziecko będzie tęsknić do mleka... Biedna sierotka!... — mówiąc to, wyjął z pod poły nieduże wiaderko z kory brzozowej i podał mu je.

— Ojcze, kto to taki? — zaszczebiotała rozbudzona Zosia.

Siedziała na pościeli i uważnie przypatrywała się Jakutowi. Ojciec wziął ją na ręce, zaniósł przed ogień i począł ubierać. Złociste włoski, koszulka europejska i biała, rączki pulchne i gołe, rumiana buzia wszystko to zaciekawiło sąsiada. Przysiadł się bliżej i czarnym, zgrubiałym swym palcem dotknął ubrania i ciała dziecka.

— Co ona jada? — spytał z namysłem.

— To samo, co i wszyscy.

— Och!... och!... — wzdychał. — Słuchaj, cudzoziemcze, czy nie przywiozłeś czasem soli i herbaty?... Bardzo soli potrzebuję... Cielęta mają biegunkę; dwa zdechły.

— Soli sam potrzebuję. Nie byłem w mieście... Trzeba będzie poprosić Kapitona. Czy on ma mydło, nie wiesz?

— Kto go wie. Pewnie ma. Bogaci są ludzie, może się i myją!

Aleksander ubrał Zosię i obudził Jakóba.

— Wstawaj, śpiochu! Herbata na stole!

— Dawno już nie śpię — upewniał tenże.

— Ładnie nie śpisz! Takeś chrapał, że aż »Żabie Oko« zląkł się, myśląc, iż to Ajaks warczy.

— Nie czekajcie na mnie.

Ubierał się leniwie, a oni tymczasem zasiedli do stołu.

— Przyjdź później, Żabie Oko, proszę cię, i przynieś z sobą drąg żelazny. Trzeba oczyścić przerębel... Zamarzła w czasie mojej nieobecności. Siekierą wody nie dostaniesz... — mówił Aleksnder Jakutowi na odchodnem. — Maję przyprowadź albo lepiej, przyszlij zaraz; muszę jechać do Kapitona.

— Nie zapomnij wziąć i dla mnie soli.

— Nie zapomnę. Maję wypraw natychmiast.

Wkrótce po jego odejściu zjawiła się Maja, dziesięcioletnia córeczka Żabiego Oka, ładna, ale strasznie brudna i oberwana Jakutka.

— Dziecka i ja mógłbym dojrzeć! Na co tu ona?... — zaprotestował Jakób.

— Pierwszy dzień — nudzić się będzie. Niech się pobawi, pozna swoich sąsiadów, — tłómaczył się Aleksander. Kazał Majce umyć się, podarował jej swoją koszulę, z tym warunkiem, aby ją natychmiast włożyła i polecił nie odchodzić od Zosi. Dziewczynki wyprosiły sobie pozwolenie odprowadzenia go nad brzeg jeziora.

Dolina, w zachodnim kącie której stała sadyba Aleksandra; przedstawiała obszerną, podługowatą równinę. Jezioro długie, wązkie niby rzeka przedzielało ją na dwie części. Tę, gdzie mieszkał Aleksander, prawie całkowicie wypełniał mokry »kałtus« z ogromnemi kępinami, wyglądającemi z pod śniegu, niby okrągłe brukowce źle wybrukowanego placu. Na pierwszym brzegu jeziora rozciągały się gładkie, równe, jaskrawo białe przestrzenie łąk z rozległym widokiem na gaje, kępy, zarośla, na rozrzucone tu i ówdzie białe stogi w oprawie czarnych, otaczających je płotów. Ściana ciemnego boru jednolitem półkolem obiegała dolinę; ponad nią blademi linjami zarysowały się odległe góry. Gaj u sadyby Aleksandra nie łączył się z borem; stał oddzielnie niby piękny, leśny bukiet, rzucony na brzeg przepaści. Przepaść roztwierała się tuż za domem; na dnie jej płynęła rzeka Ałdan. Błękitne przestworze, wiszące nad nią, niby okno, rozrywało ciemny pierścień lasu, pozwalając oczom biedz dalej. Chętnie one zwracały się w tę stronę. Tam zawsze było inaczej! czy w czasie mgły, gdy białe podnosiły się opary, czy w zamieć, gdy kłębiły się płatki śniegu, czy — gdy błąkały się perłowe chmurki! Ale najpiękniejszym był błękit, jak łza czysty, przejrzysty, a nieprzenikniony i nieskończenie daleki.

Jezioro jednym końcem dotykało przepaści i groziło wylaniem się do niej w razie większego podmycia brzegów, drugim uciekało w lasy. Po tej stronie, gdzie stała sadyba Aleksandra, na trzy od niej staje, mieściła się nad brzegiem jeziora jurta Żabiego Oka. Droga do niej wiodła w zimie przez jezioro, po lodzie. Jurtę otaczały płoty i zabudowania. Od ocieniającego ją gaju wybiegał i ciągnął się wzdłuż jeziora rząd drzew, tworząc na żółtej tarczy »kałtusa« piękną, powietrzną kolumnadę. Między drzewami przyświecała płowa dal lasu i wijąca się pośród kęp wstęga głównej drogi.

W sadybie Żabiego Oka Aleksander napoił konia i wyjechał na przeciwległe łąki, oblane jaskrawem światłem wiosennego słońca. Nad śniegami drżały tęczowe miraże silnie ogrzanego powietrza, unosiło się ciepłe tchnienie błękitów, gorzała ziemia w oślepiającym blasku od jej łona odbitych promieni. Wrony, zziębnięty, niecierpliwie szarpał cugle... Aleksander popuścił mu wodze. Szybko przejechał łąki i mijał w pędzie nędzną wioskę, gdy wywabiona szczekaniem psów wyskoczyła z jednej jurty młoda Jakutka. Wrony zachrapał i w bok się rzucił przerażony brzękiem srebrnych blaszek, zdobiących jej warkocze.

— Liksandra!... Liksandra!... — krzyknęła, przeskakując przez płot. — Poczekaj!...

Aleksander z trudnością wstrzymał rozhukanego konia.

— Jak się masz, Toj! Brzęczysz, jak dzwonnica! Nastraszyłaś mi konia. Nie wiesz, czy Tus w domu?

— Nie wiem; zdaje się, niema go.

— A twój ojciec?

— Też niema. Wszyscy u Kapitona. Tam zebranie. Kniaź przyjechał.

— Wciąż z Tatarami? Czy co innego?

— Nie wiem. Co wiedzieć wolno nam, kobietom, prócz garnków i... pościeli! — roześmiała się i zalotnie przymrużyła podłużne, cygańskie oczy.

— Widzisz, — poczęła cicho, poufale opierając się na łęku siodła — przywiozłeś, powiadają, dziewczynę. Otóż chcą pisać do gubernji, że dziewczyny nie przyjmują, że ciebie tylko jednego obowiązani są trzymać. A więcej nie wiem...

Aleksander wzruszył ramionami.

— Niech piszą. A cóż Tatarzy? Co powiedział doktór?

— Żona twoja, Liksandra, podobno była piękność... I córeczka też piękność... Nie widziałam jeszcze nigdy w życiu dzieci ze złotemi włosami... Ona podobno ma złote... Czyż doprawdy ani razu nie pocałowałeś żony?... I ona tak... umarła... napróżno! Przyjechała poto tylko, aby zobaczyć i.. nic więcej... Biedaczka!

Aleksander zmarszczył brwi i ściągnął uzdę.

— Głupia jesteś, Toj!

— Cudzoziemcze! o! cudzoziemcze!... Przygotuj podarunki, przyjdę córkę oglądać! — krzyczała za nim Jakutka — Jakóba wypędź na ten czas! — dodała ze śmiechem.

Jurta Kapitona stała na innej łące za gajem, o dwie wiorsty. Między nią i wioską leżało wielkie okrągłe jezioro, obrosłe trzciną i szuwarem. Kniazia nie zastał już Aleksander u Kapi-

tona; większa część krajowców też się rozeszła; byli tylko najbliżsi sąsiedzi. Gospodarz, gruby Jakut z choremi, krwią zaszłemi oczami, przyjął Aleksandra uprzejmie; posadził za stołem, częstował herbatą i w rozmowie o różnych rzeczach próbował wybadać, co robić zamyśla, gdzie córkę umieści, jak sobie pocznie bez kobiety.

Wiele szczegółów z jego podróży i ze spotkania z żoną było widocznie znanych Jakutowi. Aleksander odpowiadał oględnie. Mydła, soli i herbaty sprzedał mu chętnie, dziwił się jednak, że nieboszczka, chociaż za bogatą uchodziła kobietę, nie przywiozła nic z miasta.

— Zupełnie musiała być południowa pani. Uczona. Nie wiedziała, biedna, że tu dokoła głuchy las, że jeśli człowiek czego nie ma, to choć się kładź i umieraj... nie dostanie! Dobrze, jeżeli dadzą sąsiedzi... A dadzą wtedy, jeżeli dać mogą...

Był między gośćmi i Tus, szczupły, szpakowaty staruszek z płaskim nosem i ostrym podbródkiem, z twarzą tak ciemną i pomarszczoną, jak gdyby uwędzoną w dymie.

— Poczekaj, pojedziemy razem — wstrzymał go Aleksander, widząc, że się zabiera do odejścia.

— Razem, a to poco? Przecież ty jedziesz do kniazia!

— Nic bez soli, nic bez żartu! Jaki przykry stary! Poco a poco?!... Weselej będzie cudzoziemcowi!... — poparł Aleksandra gospodarz.

— Wiemy, jak polowała mysz z żabą!

Jakuci zaśmiali się.

Całą drogę Aleksander objaśniał Tusowi, o co mu chodziło.

— Na co ci łódka?.. i taka dziwna... cienka, mała!... Obcasem ją przebijesz.. Rzeka nasza — gniewna woda!

— Podoba mi się taka. Zrobisz, czy nie?

Tus wydął wargi.

— Rybę łapać myślisz? czy co?... Utoniesz!...

— Nie lękaj się.

Tus gładził brodę dłonią i patrzał, namyślając się, na wyciągnięty ku niemu zadatek.

— Cóż! czyż jeden tylko doktór ma dziś brać pieniądze? — roześmiał się i wziął papierek.

III.

Sadyba kniazia nie różniła się od innych zamożnych siedzib jakuckich. Kilkanaście budynków: jurty, obory. spichrze, stogi siana, ogromne, czarne pagórki wyrzuconego z chlewów gnoju -- wszystko to stało skupione na pochyłości niewielkiego wzgórza, nad brzegiem jeziora. Wdali widać było ciemne lasv, białe śniegi, blade sylwetki rozrzuconych tu i ówdzie jurt; w pobliżu — śniegi pożółkłe od dymu i śmiecia, krzewy i drzewa niemiłosiernie objedzone przez bydło i cała sieć dróg większych i małych, prostych i krzywych, zbiegających się do osady, niby promienie do środka. Ale miała owa osada coś, czego nie miały inne: obszerny dom w rosyjskim stylu, z dużemi szklanemi oknami, zaopatrzonemi w okienice malowane na żółto i zielono, ze spiczastym dachem i skrzypiącą na nim żelazną chorągiewką. W domu tym nikt jednak nie mieszkał. Otwierał się tylko na przyjęcie niezwykłych gości: archireja, gubernatora lub innego urzędnika wyższej hierarchji; a życie zwykłe, codzienne kupiło się wyłącznie w niskich, niepozornych jurtach, nawozem obmazanych.

Dzień był pochmurny i wietrzny. W oknach domostw, pokrytych taflami lodu, błyskało światło; kłęby dymu snuły się z kominów. Wiatr porywał garście iskier i rzucał je na ludzi, kręcących się po podwórzu, na konie osiodłane i ze spuszczonemi łbami drzemiące u słupów. Kiedy we wrotach ukazał się Aleksander z Jakóbem i dziesiętnikiem ludzie poruszyli się żywiej. Ten i ów podbiegł odebrać konia, pomódz przyjezdnym zrzucić niezgrabne podróżne burki — »dochy«. Lecz w ich spojrzeniach, w tonie odpowiedzi, w całem zachowaniu się przebijało coś, co uderzyło i zaniepokoiło Aleksandra i jego towarzysza.

Zasiedatiel, który parę dni temu przyjechał wznowić śledztwo w sprawie zgorzałych Tatarów, wezwał ich tu urzędowym papierem.

Aleksander wszedł do izby. Była przepełniona ludźmi. Gdy go ujrzeli, rozstąpili się, dając im przejście.

— Witajcie, panowie — przyjął ich grzecznie urzędnik, wyciągając rękę.

— Wybaczcie kłopot... Jest mała sprawa... Bądźcie łaskawi poczekać. Zaraz skończymy.

Wskazał ruchem głowy na Jakuta, którego badał i na pisarza, zapisującego odpowiedzi, staruszka z sowią głową, przyprószoną siwizną, w błękitnych, okrągłych okularach na haczykowatym nosie.

Zasiedatiel tęgi, rosły mężczyzna, miał twarz czerwoną, piegowatą, wąsy rude, krótko podstrzyżone i faworyty. Z pod rozpiętego, ciemnego munduru wyglądała koszula perkalowa, w różowe kwiatki. Od niechcenia bębnił palcami po stole i wstawiał uwagi i poprawki w ruskie tłómaczenie spisywanego protokołu.

— Jakże się miewacie, panowie! Jakże wam czas upływa? Wy, Aleksander Iwanowicz, — zwrócił się do Aleksandra — wytrwale bombardujecie wciąż Zarząd okręgowy prośbami. Ej, zły wybraliście czas! Słyszałeś pan, co oni znów tu narobili?... Szelmy, Azjaci... nie chcą nas — i tyle! — roześmiał się.

Aleksander zrozumiał ironję w tonie urzędnika Sybiraka, ale milczał.

— Cóż, Fieodorycz, skończyłeś?... — Kończże nareszcie!...

— Skończyłem — kiwnął głową pisarz.

Zapisane papiery położył na bok, wziął czysty arkusz, poprawił pióro i utkwił nieruchome oczy w Aleksandra.

— Pozwól, Aleksandrze Iwanowiczu, że zaczniemy od ciebie. Twoja sprawa ważniejsza. Sprawa Jakóba Stefanowicza nie warta plunąć. A pana spytać muszę w kwestji tatarskiej.

— W kwestji tatarskiej!... Jakiż ja mam z nią związek?

— O bardzo mały, ale zawsze... Natychmiast... zaczniemy po porządku, według punktów... Imię pana i jego ojca?

Aleksander pomyślał chwilkę, poczem zażądał blankietu i własnoręcznie począł wypełniać rubryki.

— Zna pan zesłańca Pałkina?

— Pałkina? Nazwisko gdzieś słyszałem, ale gdzie, nie pamiętam.

— Wprowadzić — dał znak głową Jakutom.

Po chwili, brzęcząc łańcuchami i szeroko rozstawiając zakute nogi, wszedł do jurty chłop wysoki, barczysty w nowym aresztańskim kożuchu. Na rękach miał kajdany i dwóch Jakutów przytrzymywało go za łokcie. Podszedł do stołu i spojrzał posępnie na Aleksandra, w którego pamięci coś niejasno zamajaczyło. Zdało mu się, że naprawdę gdzieś widział tę konopiastą brodę, krzywe, wąskie usta i zielone biegające oczy. Ale gdzie?... nie mógł sobie przypomnieć. Starał się, we wspomnieniach grzebał, a zielonawe oczy patrzały nań wyczekująco.

— O co go obwiniacie?

— Zaczekaj pan... po porządku, według punktów. Widział go pan kiedy, czy nie?

— Zdaje się... Nie... nie wiem.

Wąs więźnia ruszył się i drgnął.

— Więc pan nie widział... A on powiada, że tego miesiąca... dnia...

— Szóstego — pospiesznie podpowiedział pisarz.

— Tak, szóstego... był u pana i, że pan nie przyjął go na noc, wskutek czego musiał iść w zamieć 70 wiorst, nim dotarł do innych mieszkańców.

(C. d. n.)

O kwestji tak zwanej „kobiecej"

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Zwykle w spisie znamion psychicznych, mających charakteryzować inteligencję kobiet, pomieszczaną bywa namiętność niewiast do błyskotek, do ozdób, do barw jaskrawych, papuzich. I tak powiadają, że kobiety uganiają się przez całe swoje życie za błyskotkami, przepadają za niemi, że gotowe są poświęcić cnotę swoją, swoje obowiązki najświętsze, byleby je pozyskać. Znaną jest powszechnie przypowiastka francuska o szalu i cnocie niewieściej, mającej rzekomo dawać świadectwo słuszności takiej charakterystyki. A jednak, jeżeli się przypatrzymy bliżej czynnościom, uznawanym za prawdziwie męskie w życiu płci silnej, to spostrzeżemy, że charakter, przypisywany kobietom, jest niezmiernie pospolity pomiędzy mężczyznami; oni to, w celu dogodzenia własnej próżności, uganiają się przedewszystkiem za błyskotkami: za krzyżykami, wstążeczkami, gwiazdkami. Pogoń taka jest faktem zwykłym, ogólnie tolerowanym, a co więcej uważanym za znamię dodatniej natury w charakterze męskim. Następnie, któreż to serce czystej krwi arystokraty nie zabije przyspieszonem, radośnem tętnem, gdy się stanie zadość najgorętszym jego pragnieniom, gdy spadnie z łaską najwyższą złoty szamerunek na piersi! A ileż to barbarzyństw, ile nieprawości się popełnia, jakie potoki krwi, jakie morza łez płyną li tylko z racji, że bohater jakiś zapragnął ozdobić swą szyję lub piersi, dajmy na to, wstęgą orderu słonia białego, albo runa złotego. To też prawdziwie dziwić się trzeba, że cechy, o których mowa, nie uważają się za należące do charakterystyki męskiej indywidualności, bo któż zresztą obleka, jeżeli nie mężczyźni najwyższe godności i stanowiska w jaskrawe barwy purpury i fioletów i stroi w papuzie kostiumy setki tysięcy pstrych bohaterów.

Drugim przymiotem strony psychicznej osobowości kobiecej ma być bigoterja, wiara w dogmaty, poparte tylko powagą autorytetu, a nadto poddawanie bezmyślne swego »ja« pod kierownictwo obce. Sądząc atoli o słuszności takiego zarzutu, czynionego indywidualności kobiecej, już tylko na mocy tego faktu, że cała masa osobników płci męskiej poświęca się profesjonalnie bigoterji, że następnie tysiące z nich zabijają w sobie i w młodzieży, którą uczą, władzę logicznych sądów, ażeby tem łatwiej było oddać się pod przewodnictwo autorytetu — słuszniej byłoby wpisać i te cechy do rubryki właściwości charakteru męskiego, albo przynajmniej do znamion przeważnie pożądanych dla osobowości płci rzeczonej jakkolwiek wspólnych z kobietami.

Jako trzecia cecha charakteru, właściwa kobietom, ma być niezdolność do logicznych sądów, do racjonalnego wnioskowania, a z tego już źródła mają płynąć, jako konieczne konsekwencje, łatwość do przerzucania się z jednej ostateczności w drugą, do zmieniania swoich przekonań, jak się zmieniają rękawiczki. Otóż i te cechy nie stanowią wyraźnej właściwości natury kobiecej, bo przecie widzimy na każdym kroku brak logicznego myślenia u mężczyzn, nadto spotykamy u nich właśnie tę łatwość niezwykłą zmieniania przekonań i to w najwyższym stopniu wykształconą, bo dosyć np. jakiejś obietnicy na synekurę, ażeby w jednej chwili zmienić zagorzałego, dajmy na to, darwinistę, w zaciętego wroga teorji transformizmu: następnie, czy rzadkimi są wypadki, że pierwszy lepszy tytuł, albo urząd, połączony ze znacznym dochodem, potrafią w błyskawiczny sposób przeobrazić nawet tak zwanych wytrawnych mężów stanu i przemienić ich z radykalistów np., lub postępowych w zapamiętałych konserwatystów i zacofańców. Ba! co więcej, widzimy całe miljony męskiej ludności, jak w chwili oportunistycznego upojenia czy obłędu, depczą nogami swe najwznioślejsze ideały, którymi się przez całe szeregi lat szczycili i które były rzeczywistą ich chwałą, ich zaszczytem zasługą i ozdobą.

Czwarty z kolei i to na serjo czyniony zarzut inteligencji kobiecej, jest jakoby pochopność niewiast do wystawiania na pokaz nagich części swego ciała. W rzeczy samej, zarzut taki zdawałby się na pierwszy rzut oka bardzo słuszny, gdyby nie to przekonanie, że mężczyźni dla tego tylko tej pochopności nie zdradzają, bo nie mają Bogiem a prawdą czem się chwalić przed publicznością. Co do mnie, to jestem przekonany, że mężczyźni byliby już dawno prześcignęli kobiety w wystawianiu na pokaz swej nagości, gdyby takowa nie była odrażającą. Zresztą tylko kobiety ze sfer tak zwanych wyższych, prezentują się nawpół nago na zebraniach publicznych, a one przecie nie mogą stanowić normy dla oceny wartości inteligencji kobiecej, bo są nawskróś zdenaturowane, ich umysł cały i ciało całe są wysznurowane według mody tresury bezmyślnej, której inicjatorami, konserwatorami i propagatorami są zawsze i wszędzie mężczyźni. Wieśniaczki i kobiety ludów niecywilizowanych te mianowicie, które używają odzieży, zaprotestowałyby najenergiczniej, gdyby je chciano ubrać na pokaz w »dekoltowane« stroje balowe, gdyż na takie iście jarmarczne, jaskrawe wystawy żeńskości, jakiemi są dzisiaj bale różnego rodzaju, inteligencja kobiet, nie zdenaturowanych od dziecka, odważyć by się chyba nigdy nie potrafiła.

Moglibyśmy dowolnie powiększyć ilość przykładów, bądź czerpanych z obserwacji bezpośredniej nad zjawiskami życia codziennego, bądź opartych na świadectwie historji, ażeby dowieść, że nie ma ani jednej z cech, należących do właściwości duchowych, przypisywanych charakterom kobiecym, którejbyśmy nie byli w stanie odszukać w indywidualnościach męskich, i na odwrót, i że one wszystkie są prawie równie pospolitemi u osobników płci obu, objawy ich tylko mogą być różne, albo nieco odmienne, ale to jądra rzeczy nie zmienia wcale, albowiem cele, intencje, i metody czynów, wypływające wszystkie z rzeczonych, jednakich właściwości duchowych, są w gruncie te same. I tak czy jedne osobniki ciągnąć będą długie »treny« za sobą, lub nosić na głowie całe ogrody kwiatów sztucznych, albo wiązki piór ptasich, zaś drugie strzępić będą wąsy jak szczotki, lub wdziewać dziwaczne wierzchnie ubranie, i nosić krawaty i rękawiczki o krzyczących kolorach, to tem przecie nie zmienia się sama intencja czynu, mająca swe źródło w próżności — imponowania ulicy, zwracania na siebie gwałtem uwagi publiczności. Następnie czy jedne indywidua przysiadać będą w kniksach japońskich do ziemi, zaś inne giąć się będą w pałąk, chyląc łby w pokorze na znak czołobitności, jak to czynią Bonzowie przed swemi bożyszczami, to cel ich jest jednaki — chęć przypodobania się silniejszemu, pragnienie pozyskania dla siebie łask i względów możnowładnych.

Uwagi, co dopiero wypowiedziane pozwolą zrozumieć przyczyny, dla których badania psychofizjologiczne nad różnicami osobników płciowych, lub też antropometryczne, mające wykazać odmienność w budowie indywiduów płci obu, leżącą poza sferą cech, związanych mniej lub więcej ściśle z czynnościami generatywnemi, nie mogły doprowadzić do innych rezultatów, jak tylko chwiejnych, niepewnych, ogólnikowych, nadto wykazać one potrafią, że doświadczeniom dotychczasowym, dokonywanym w dziedzinach badań, o których mowa, brak jest najczęściej wszelkiego znaczenia naukowego, a to głównie z powodu, że nie uwzględniały one jednego z najważniejszych momentów, a jest nim mianowicie wielolicowość osobników badanych, która to właściwość szczególnie silnie bywa uwydatniona w sferze czynności ich duchowych. Widzimy tedy, że przykłady i fakty, podawane przez wielu autorów w celu udowodnienia aprjorystycznych założeń, zwykle na wiarę i uwagę nie zasługują wcale*).

(C. d. n.).

---

*) J'ai déjà déclaré qu'on ne savait certainement pas, s'il y a une différence naturelle dans la force ou la tendance moyenne des facultés mentales des deux sexes, et bien moins en quoi cette différence consiste..... Les idées qu'on s'est formé de la nature des femmes sur de simples généralisations empiriques, construites sans esprit philosophique et sans analyse, avec les premiers cas venus, sont si peu sérieuses, que l'idée admise dans un pays diffère de celle d'un autre; elles varient suivant que les circonstances propres à un pays ont donné aux femmes

Demokratyzacja sztuki.

I.

Teatr ludowy we Francji.

(Dokończenie).

Laurenty, syn władcy potężnego grodu, jest wyznawcą słodkiej nauki miłości powszechnej. Laurenty rzuca gród i idzie wśród nędzne plemiona górali oświeca je, naucza i stwarza wśród nawpół-dzikich ludzi ład i surowe szczęście, oparte na pracy i miłości bliźniego.

Ale ojciec jego, władca grodu Hagon, uważa apostolstwo to za zgubne dla swej potęgi.

Podsyła więc warchołów, którzy wprowadzają zamęt w pojęciu górali. Górale każą Laurentemu prowadzić plemię na rabunek grodu. »Nauczyłeś nas — powiadają — żeśmy nędzni: teraz chcemy użyć!« Laurenty opiera się, górale go zabijają i sami idą na gród Hagona. Ale Hagon, który na to tylko czekał, rozbija ich w zasadzce na głowę i teraz sądzi, że okiełznał plemię, które mu wydarła nauka syna. Wtem, w chwili, kiedy stojąc wśród drżących górali, nakłada Hagon haracz na zwyciężonych, do obozu wpada kobieta z wieścią, że wody jeziora, położonego nad grodem Hagona, przerwały tamę i gród obróciły w perzynę. A stało się to skutkiem złośliwości niejakiego Bromerre'a, naczelnika górali przed tem, nim ich Laurenty oświecił. W ten sposób zemsta za ideał podeptany wylęgła się wśród niestłumionych jeszcze doszczętnie przez apostoła resztek nienawiści. Hagon jest zgubiony: górale, widząc jego klęskę, podnoszą znów głowę i gotowi są już wymordować go i resztkę jego wojska. Ale tu z poza grobu przemawia do nich nauka Laurentego. Mianowicie czcicielka młodego apostoła, Teresa, gromi górali i Hagona, że się waśnią wobec tak strasznej, a wspólnej klęski. Teresa wskazuje im cel we wspólnej pracy nad doliną, którą klęska zniszczyła i przyszłość, która od pracy tej zawisła. — Nad grobem syna-apostoła i zapoznanego wodza, górale i Hagon zawierają przymierze wiecznej miłości i wspólnej pracy w dolinie klęsk.

* * *

Taką oto jest treść tych dwóch pierwszych prac młodego Pottechera. W pierwszej sztuce postać poświęcającej się Marjanny może jest nieco zbyt ofiarna, zbyt nieracjonalnie poświęca się. M o ż e — powiadam — bo ostatecznie wszelka ofiara, jeśli na nią patrzymy nie z wązkoutylitarnego stanowiska, nie jest-że czemś boleśnie płonnem w pewnej mierze?

W drugiej sztuce za to akcja rozwija się bez wygórowanych subtelności, lecz potężnie i żywotnie. Symbol zawarty w sztuce piękny jest, choć może nie dla każdej propagandy przydatny.

Dalekie echa abnegacji moralnej Tołstoja giną tu prawie w potężnem tętnie życia. Ci ludzie pragną silnie i wiedzą, czego chcą. Wypadki i wola ludzka splatają się w całość pełną znaczenia. Ta »zgoda« nic nie ma w sobie z owego ckliwego, jak emetyk »ładu«, w którym moraliści tuzinkowi godzą zwykle sprzeczne interesa. Tu się czuje, że zgoda, okupiona temi ofiarami, nie jest nową edycją wyzysku, lecz spółką rozumną i uczciwą siły rozumnej i siły brutalnej. Ale nie o to mi zresztą chodzi w teatrze Pottechera.

Rzecz jasna, że jego założenia i ideały moralne lub społeczne podlegają, jak wszelkie inne, dyskusji. Chodzi mi przedewszystkiem o zaznaczenie jakiejś dzielności, jakiejś niepowszednej siły, która bije od tych symbolów bardzo realistycznych Tu legendy splatają się z rzeczywistością, jak dwa bratnie światy, przenikające siebie wzajemnie tętnem życia i polotem duszy. Autor się nie pyta bojaźliwie: »Czy tak bywa w rzeczywistości?« — A mimo to ani ów kusy djabeł, ani legenda Motevillen'u nie rażą anachronizmem — nie rażą samych widzów. Ostatnie sprawozdania z przedstawień tych sztuk w Bussang przynoszą wieść o entuzjazmie, którym ludność okoliczna wynagrodziła autora.

Trzy tysiące osób bywało na każdym widowisku i los teatru zapewniony jest od pierwszych przedstawień. — Drugim rysemi, który podnieść należy w pracy Pottechera, jest znakomita gibkość tego talentu, który potrafił tendencje i tematy Tołstoja tak unarodowić i przerobić w ton życia miejscowego. To jest wielka zasługa tam, gdzie miejscowe warunki nie wydają na razie ludzi i utworów tej miary, co Tołstoj.

Pottecher nic się nie dał unieść tanim efektom »egzotyczności« i moskalofilstwa, które dziś popłaca wśród bezmyślnych.

Owszem: Obie sztuki od założenia do najdrobniejszego szczegółu przerobiły obcą inspirację na motywa głęboko swojskie, wyrobiły własny swój język, skąpały się we własnym kolorycie. Wpływ najbardziej obcy, przeszedłszy przez probierz takiej rodzinności, nie tracąc nic na stronie ogólno-ludzkiej, zyskuje bardzo pod względem poglądowości i prawdziwie może być uwa-

---

qui y vivent des occasions de se développer on de ne pas se développer dans un sens. Les Orientaux croient que les femmes sont par nature singulièrement voluptueuses, un Anglais croit d'ordinaire qu'elles sont naturellement froides. Les proverbes sur l'inconstance des femmes sont surtout d'origine française... (S. Mill. L'assujéttissement des femmes, traduit de l'anglais 1869 p. 145—147).

żany za wyraz pracy narodowej. Tak go też przyjął lud Wogezów.

Słówko jeszcze o technice teatru ludowego, bo myślę, że nie zawadzi uprzedzić smętne westchnienia na temat »u nas inaczej!« Otóż Pottecher rozpoczynając, nie miał ani sztuk, ani teatru, ani trupy. Ze sztukami — wiemy, jak sobie poradził. Trupę znalazł, odczytując znajomym swe utwory. Stanowią ją: dwaj mali urzędniczkowie, kilku sklepikarzy, parę nauczycielek ludowych. Co do teatru — to pierwsze przedstawienie odbyło się w suszarni podmiejskiej, mieszczącej górą 3000 osób. Dekoracji ta scena nie miała żadnych, kurtynę, mało ozdobną, podnoszono bez maszynerji. Za miejsca brano li tylko na pokrycie kosztów i na biednych miejscowych. — Druga sztuka mogła już sobie sprawić dekorację, przedstawiającą wnętrze lasu w mgle (tj. parę drzew kartonowych, a przed nimi rozciągnięta gaza). Obecnie miejscowy architekt opracował podobno plan olbrzymiej szopy z amfiteatrem i scen, która stanie w Bussang, jako pierwszy teatr ludowy Francji.

»C'est égal« — jak powiadają francuzi — bądź cobądź nie można powiedzieć, żeby początki Pottechera, dzielnego człowieka i zdolnego autora, różniły się wielce od początków i trudności, jakie dzielny człowiek i zdolny autor przełamać może pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi.

Antoni Połocki.

Fryderyk Smetana.

Jego życie, dzieła i znaczenie.

(Ciąg dalszy).

Powodzenie zagranicą ośmieliło wydawców praskich i odtąd utwory Smetany, obracające się ciągle jeszcze w sferze muzyki fortepjanowej, pojawiają się ich nakładem. Tymczasem powołują mistrza do Göteborgu, gdzie mając sobie powierzone kierownictwo towarzystwa filharmonijnego, rozpoczął działalność kompozytorską na szerszą skalę. Mianowicie obok transkrypcji fortepjanowych utworów Schubertha, Mendelsohna, Beethovena, Spontiniego i innych mistrzów, utworzył tu trzy poematy symfoniczne na wielką orkiestrę: Ryszarda III. Obóz Wallensteina i Hakona Jarla (op. 11, 14 i 16). Dla scharakteryzowania tych kompozycji wystarczy przytoczyć komentarz Smetany do »Ryszarda«: »Kto zna Ryszarda III. Szekspira, może sobie całą tragedję przedstawić podług swego upodobania podczas słuchania tej kompozycji. Mogę tyle tylko powiedzieć, żem już w pierwszym takcie nakreślił postać Ryszarda środkami muzycznemi; temat ten główny owłada w rozmaitych warjacjach całym utworem. Przed finałem próbowałem muzycznie odmalować ów sen straszny przed bitwą w namiocie Ryszarda... Koniec stanowi upadek Ryszarda, środek zwycięztwo, jako króla«. Druga z symfonji wymienionych ilustruje w podobny sposób znany utwór szylerowski, do którego może być przygrywką przy zastosowaniu odpowiednich skróceń. Do trzeciej natchnęła Smetanę tragedja Oehlenschlaegera, która na nim robiła zawsze potężne wrażenie. Walka okrutnego poganina Hakona z chrześcijaninem Olafem Trygvasonem zakończona zwycięztwem krzyża — przedmiot to wdzięczny dla kompozytora. Wyzyskał go też Smetana odpowiednio, choć nie pierwszy z pewnością, ani nie ostatni opiewał tonami zwycięztwo Olafa; wystarczy wskazać choćby na Griega piękną suitę.

Lecz ojczyzna, w której otwierano nową świątynię Melpomenie, wzywała mistrza do zadań szczytniejszych. Pożegnał Szwecję, która mu nie skąpiła uznania, koncertową etiudą »Na brzegu morskim« (op. 17), wrócił do Pragi i począł sypać utworami na tematy narodowych pieśni. Po objęciu kierownictwa chóru »Hlaholu«, niby praskiej »Lutni«, zwrócił się zrazu do komponowania chórów, by jak na innych polach i tu stworzyć podstawę do rozwoju muzyki narodowej czeskiej. Kilkanaście mniejszych i większych utworów chórowych, które w ciągu dwudziestolecia (1862—1883), wyszły z pod pióra Smetany, pierwszorzędne to punkty programu śpiewackich towarzystw muzycznych, choć kompozytor nie przywiązywał do nich zbytniej wagi, uważając je tak samo za okolicznościowe, jak szereg uwertur i przygrywek, które od chwili objęcia stanowiska kapelmistrza teatru czeskiego musiał tworzyć dla jego potrzeb. On już myślał teraz o czem innem — o stworzeniu odpowiedniego repertoaru operowego, któryby nietylko z nazwy był czeskim, lecz i w rzeczy samej. To też już w r. 1863 napisał na libreto Karola Sabiny pierwszą swą operę »Brandenburczyków w Czechach«. W trzech aktach przedstawiono tu obraz smutny z czasów, kiedy obcy najeźdca mógł bezkarnie plądrować po Czechach, dopuszczać się gwałtów i porywać córy ojcom tak, jakto w tej operze czyni kapitan Warnemann z poduszczenia mieszczanina praskiego, Tausendmarka, który po dobremu nie mógł zdobyć serca Libuszy, córki prymatora Olbramowicza. Temu obrazowi przeciwstawia librecista siłę uśpioną, która spoczywa w ludzie czeskim, wyrastającym pod wodzą włóczęgi Jurka na oswobodziciela ojczyzny. Smetana ten moment ludowy opery podkreślił tak silnie i lud ten, oraz jego bohatera Jurka, scharakteryzował muzycznie tak dobitnie, że publiczność, uderzona nowością swojskości, rozmiłowała się w »Brandenburczykach«. Wpraw-

dzie krytycy kiwali głową nad wagnerjanizmem, tj. nowożytnością muzyki tej opery, jednak niezaszkodziło to w niczem operze, którą wystawiono w r. 1866 z wielkiem powodzeniem i nagrodzono na konkursie. Mimo różne wady rytmiki wyrazowej, usterki libreta itp., i dziś jeszcze nie można niezachwycać się scenami ludowemi tej opery i wyborną charakterystyką Jurka, który należy do najlepszych kreacji p. Florjańskiego.

Wnet po »Brandenburczykach« wziął się Smetana do pracy nad »Sprzedaną narzeczoną«, która miała imię jego unieśmiertelnić. Praca trwała trzy lata, (1863 - 66), ale najwalniejsza część opery zawdzięcza swe powstanie zarzutom jakie spotkały jej poprzedniczkę. Oto, co opowiada o tem sam kompozytor: »Zarzucono mi po Brandenburczykach, żem wagnerjanin i że nie potrafię nic stworzyć w lżejszym stylu ludowym. Pobiegłem zatem do Sabiny, aby mi sklecił libreto i napisałem »Sprzedaną narzeczoną« podług mego ówczesnego mniemania tak, że jej niedorównał nawet »Offenbach«. Nie odrazu jednak przybrała opera ta postać, w jakiej ją dziś widujemy. O wiele była drobniejszą w początkach i podobnie, jak »Halka« z dwuaktowej przekształciła się w trzyaktową. Przekształcenia tego dokonał Smetana, gdy zanosiło się na wystawienie jego dzieła w paryskiej operze komicznej. Do 20 numerów przybyły wtedy 2 arje i balet (Skoczna), a akt I. rozdzielono na dwie odsłony. Nadto w r. 1869, (a więc w 3 lata po pierwszem przedstawieniu z 30. maja 1866), przybyły: polka i furjant, a całość podzielono na 3 akty. Wreszcie dla sceny petersburskiej, na której zaprodukowała się »Sprzedana narzeczona« w r. 1871 bez powodzenia, zastąpił Smetana prozę recytatywami. Powodzenie opery tej było szalone. W ciągu lat 16 wystawiono ją 100 razy, a odtąd wzrastała liczba przedstawień tak, że w r. 1892 obchodzono jubileusz dwusetnego, a r. z. trzechsetnego przedstawienia jej na scenie praskiej. Wpływ też, jaki na innych kompozytorów wywarła, był ogromny. Całe ich szeregi wzorowały się na niej.

Ale kompozytor nie spoczął na wawrzynach. Od opery komicznej zdążał do bohaterskiej, a zdążał rączo. W półtora roku (1866 - 7) ukończył »Dalibora«, którego libreto napisał po niemiecku J. Wenzig, a przełożył na czeski E. Szpindler. Libreto, będące kombinacją »Cyda« z »Fideljem«, kreśli smutny koniec hardego rycerza, który ośmielił się urągać władzy króla Władysława (Jagiellończyka) i zabójstwo burgrabiego płoszkowickiego, rzekomo winnego śmierci przyjaciela jego, Zdeńka, przypłacił życiem. Smetanie udało się w »Daliborze« za jednym zamachem wydobyć z ludowej muzyki czeskiej najwyższy patos i na tej podstawie i z tych pierwiastków zbudować operę, w najwyższym stopniu dramatyczną. I tą operą wywołał naśladowców, z których najzdolniejszy, Zdeńko Fibich, zdobył sobie już imię europejskie trylogją, »Rodem Pelopsa«.

»Daliborem« stanął Smetana wyraźnie na stanowisku opery nowoczesnej, ale nie poprzestał na niem. Już w 4 lata potem ukończył swego »Parsifala«, jakby można nazwać jego »Libuszę«. Nie miała to być sztuka repertoarowa, ale odświętna, przeznaczona li na wielkie uroczystości narodowe. Nią otwarto podwoje *Narodowego teatru* w Pradze 11. czerwca 1881 i dotychczas przedstawiono ją ledwie z dziesięć razy. Sam mistrz uważał »Libuszę« za »uroczyste *tableau*, muzyczno - dramatyczne wskrzeszenie przeszłości«, jakiego przedtem nie znała muzyczna literatura czeska. Składa się opera ta z trzech obrazów, przedstawiających kolejno sąd, wesele i proroctwo Libuszy na podstawie podań dziejowych i bajań rękopisu królowodworskiego. Pod względem muzycznym stoi o wiele wyżej od »Dalibora« i jest więcej jeszcze »wagnerowską«. Jeśli mimo to nie wywołała takiej burzy, jak »Dalibor« i »Dwie wdowy«, powodem tego, późne jej przedstawienie w czasach, w których poczęto w Czechach trzeźwiej myśleć o niemcu Wagnerze.

»Dwie wdowy«, oparte na tle komedji Mallefille'a, powstały w zimie 1873 na 1874 r. i znaczą powrót Smetany do lżejszej opery komicznej. Fabuła eszczególna i dlatego kilkakrotnie przerabiano libreto, za to muzyka odznacza się wszelkiemi zaletami pióra czeskiego mistrza i ona to pierwsza zapoznała niemiecką zagranicę z nim, jako z kompozytorem operowym w r. 1881.

Rok 1874. jak w życiu fizycznem Smetany ważnym jest etapem, tak w muzykalnem rozpoczyna wielką erę symfonicznych poematów, które złożyły się na cykl wspaniały »Ojczyzna moja« (Ma wlast). Nie wielu chyba mistrzów tonów wyśpiewało swej ziemi rodzinnej pean tak wzniosły, jak Smetana Czechom. I to podnosi wartość dzieła, że prawie całe powstało w okresie zupełnej głuchoty twórcy, bo w okresie 1874—79 r.

(Dok. nast.). *Dr. Franciszek Krczek.*

Wiadomości bibljograficzne.

Schnür-Pepłowski. Krwawa karta, opowieść z przeszłości Galicji. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1896.

Spausta W. Na tropach, obrazki przyrodniczo-łowieckie. Tur i żubr — koń dziki — suhak — sobol — rosomak — bóbr — łoś — ryś — świstak — dzik — łabędź — głuszec. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1896

Wolberg Ludwik dr. med. Encyklopedja kieszonkowa lekarsko-hygieniczna, informacje dla zdrowych i chorych, napisał doświadczony lekarz. Z 2-go niemieckiego wydania przetłumaczył lekarz dzieci w szpitalu starozakonnych w Warszawie. Warszawa, Nakład Lewentala. Str. 341.

Z drukarni Z. Gollobs we Lwowie.